

Wiadomości Polskie

THE
POLISH NEWS
WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

LIST DO OBOZÓW

LWOM NA POŻARCIĘ

— Z jakiego sukna ma lurtę Podpięta? — spytał przy ponownej inspekcji obozów naszych w zielonej Szkocji.
— Z świec dzińskiego! — drzeczna chórkiem żołnierze, ponieważ będą już mieli nową, wydaną w Londynie, kupioną za własny zółd „Trylogię”.
Tędy widząc w ich rękach Sienkiewicza, zadam pytania następne, równie łatwe ale pewnej znajomości tekstu wymagające. Więc np. jak zwal się grzechy bojar wołoski, towarzyszący kniaziui Kurcewiczowej, jak miał na imię Tatar, wierny sługa Heleny, albo kto to był Carboni... Wymienia mnie żołnierze, mówiąc że pytania są za łatwe! Bojar zwal się Imci Pan Rozwan Ursu, Tatar miał na imię Czechyła a Carboni był to nadworny doktor Wiśniowieckiego... Dziecko dwuletnie odpowie na takie pytania!

— Tak? — rzeknę podstępnie i chytrze.
— W takim razie proszę mi powiedzieć, jak była z domu matka Skrzetuskiego? Aha!

Zapadnie głuche, ponure milczenie. pełne skondensowanego wstyd i rozpylonej hańby. Nikt, nikt w całym obozie nie wie, jakie było nazwisko paniąskie matki Skrzetuskiego! Skandal! Żołnierze będą wreszcie odpowiadać na wszystkie namiotach i nie będą odpowiadać do mnie pytaniem, nawet

Zrobię pauzę artystyczną, zamysle się i oświadcze, że... sam nie wiem. Sienkiewicz nie podaje nazwiska paniąskiego... można przeczytać „Trylogię” sto razy, można ją umieć na pamięć, a przecież nie dowiemy się niczego. Trzaski! Sienkiewicz zapominał o tym szczególe. Nazwisko paniąskie matki Skrzetuskiego zna jeden jedyny człowiek, ale zna je prywatnie, na własny użytek. Ten człowiek bawi obecnie w Londynie. Mam na myśli prof. Olgierda Górke. On jeden wie! Zbadaj, że matka Skrzetuskiego była osoba nieznaną, prawdopodobnie Rusinka, obrządku grecko-katolickiego, z okolic Żydaczowa. Oczywiście, jedynie w tym wypadku, jeśli Skrzetuski istniał, co należy uznać za rzecz wątpliwą.

Istniał Skrzetuski! Istniał nie tylko w chorobliwej wyobraźni Sienkiewicza! Mało tego, on istnieje, on żyje i niezadługo odwiedzi Was. Panowie Żelmerze, w namiotach! Na progu stanię Rzedzian, miejsce robiąc Zagłoba, który rozsiądzie się szeroko i po pierwszym łyku powie, że whisky to wcale grzechy napój... Zasię wejdą Wołodyjowski, Kmicie, Podpięta i opowiadać Wam będą o swych przewagach, o Dzikich Polach, o Zbarażu, o Czestochowie, o Szwedach, o Kozakach, o Turkach... O tych samych Turkach, których naprawdę z niewiadomego powodu bierze sobie za temat już od dwóch niedziel ksiądz polski, mówiący kazanie z radia londyńskiego do kraju. Istotnie, w pewnym sensie „tureckie” kazania! Oni tam, w kraju, pod Niemcem i bolszewikiem, słuchając radia pod grozą śmierci, właśnie spragnieni są kazania o Turkach, albo kazania na temat bitwy pod Lepanto. Ano, jak propaganda, to propaganda!

Mówmy jednak o „Trylogii”. Pod szkockim namiotem zapachnie Wam Ukrainą szeroką, zaściankiem litewskim, Polską całą. Z Babinczem pojedziecie do Prus, patrząc na krew i pożogę. Dla odmiany znacznie was bując Zagłoba, znajdzie niejedną ofiarę, niejednego Rocha, i wszyscy mówić mu będziemy „wuj”. Stanie przed Wami Helena, Olefka i Hajduczek. Serce nam pęknie na dwoje, gdy usłyszymy wieść żalobną: „Bar wzięty!”. Zajedzie wam wszystkim Sienkiewicz pod siódme żebro ogniem i mieczem, potopem zaleje równiny i zbroza, na których rozbiłście, exule, namioty... Ze słów moich wynikałoby, że „Trylogia” jest już dawno na warsztacie, ale... Ale to nie taka łatwa sprawa, jakby się Wam w obozach zdawało! Ale „Trylogia” ma 3580 stron! Ale teraz w Londynie jest właściwie wojna! Ale... Mogłbym tych „ale” wypisać tuzin i więcej, nie pomoże to jednak, ponieważ W. Panowie Żelmerze, jesteście nie-nasytzeni! Wszystkiego Wam mało! Pana Tadeusza polknęście, ba, nie waham się powiedzieć, „pozarłście” rekordowo szybko w zawrotnej ilości dwóch tysięcy egzemplarzy. Polknęście to tak jak łyka lew zgłodniały. Z kosteczkami, ze wszystkim!

O, Boże, gdybyż to w Polsce przedwojennej był taki popyt na książki! Dwa tysiące „Pana Tadeusza” w miesiącu! Któż czytał Mickiewicza? Dukal go

uczeń w szkole, zazwyczaj jednak trzej wieszce zrobili najbardziej niedostępne półki w reprezentacyjnych bibliotekach, odwiedzane jedynie przez electrolux, a dzisiaj... Czy podobna rzecz była możliwa, jeszcze wtedy, gdy pierwsze trzy wieszce epopei nie miały dla nas ani tego ciężaru gatunkowego, jaki mają obecnie, gdy nie ziębły nas lodem, gdy nie grały ogniem, gdy nie bolały, jak bola teraz... A przecież pozostały takie jak były, równe, spokojne, miarowe, proste i zarazem wzniosłe w swej zwykłości, w ich obecnej tragicznej codzienności. „...kto cię stracił”...Przez male „c”!

Dziś piękność twa w całej ozdobił
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie

Niema po tych słowach nawet marnego wykrzyknika, nawet domyślnych kropek, jest tylko punktum, basta. Jest tęsknota, która sprawia, że drugie londyńskie wydanie mickiewiczowskiej książki dożyje tej pociechy i zbłądzi pod namioty. Czyta ją będą w obozach z myślą ustawiczną o kraju. Bo kto tam mieszka? Matka, krewni, bracia, sąsiedzi dobrzy. Kogo z nich ubył... Ile pamięta, jaka żaloba długa, tam, gdzie do pani przywiązany sięga niż w innych krajach... Ktoś do meża, gdzie żołnierze dłużej

Do bohaterów oznacza, bynajmniej Anglii. „Tu” oznacza tamten brzeg kanału. Anglia to coś zupełnie innego. „Historie Anglii” Maurois skomunowali rasi żołnierze znowuz sposobem przez ływy przyjętym, więc doszczętnie, bez reszty. Straszliwy jest ten głód słowa, dlatego też losy „Historii Anglii” podzielił niepawem „Marja Curie”.

W przygotowaniu jest antologia wspomnień o Polsce p.t. „Kraj lat dziecięcych”, na którą złoży się szereg specjalnie napisanych utworów, pióra najwybitniejszych pisarzy polskich przebywających na emigracji.
Tomik wierszy, coppersad pięknych, ale przecież wierszy, zatytułowany „Alarm” a deklamowany przy ogniskach i umiany napamięć (nazwiska znanawidzonego autora nie podaję rozmyślnie) mignął się w pierwszym wydaniu, zabłysnął dru-

giem i...tyle go widać. Trzeba robić nagwałt trzeci nakład. I gdzieżby to było możliwe półtora roku temu?

Siedziałem w Szkocji a raczej deklamowałem się tam pomiędzy obozami przez dwa tygodnie, wygłaszając cdczyty (minister propagandy zarzucił mi z tego powodu publicznie tchórzstwo...) i wynieślem stamtąd uszy pełne krzyku: „Książek, książek i jeszcze raz książek!”. To nawet nie krzyk, ale ryk, ryk lwa na pustyni szkockiej. A przecież już macie śpiewnik polski z nutami, z tekstem, ze wszystkim jak się patrzy! Malo Wam jeszcze? W drodze jest tomik Pawlikowskiej, poetki przedwziewnej, która dla pokuty, dla umartwienia złożyła ślub, że aż do powrotu wyrzeknie się rymów...Tych rymów, które u niej były zawsze niewiadomo czy bardziej piękne czy bardziej nieoczekiwane. I tych właśnie cudnych rymów wyrzeka się poetka jak ktoś, kto się wyrzeka strojów barwnych i czarne służbę nosić szaty. Naprzekór ponuremu ślubowaniu, pisze wierszem przepięknym, białym jak sam śnieg, czy nawet ponad śnieg bielszym.

Jest w drodze tom inny, wiązanka wierszy o Warszawie, o niej, która już u Mickiewicza sama „jedna uraga”, o niej, która już u Słowackiego jest „żalobną wdową”, o Warszawie tej, nad którą widać u Norwida „Zygmuntowy w chmurze miecz”. O Warszawie nocy listopadowej

Karpinińskiego, więc o tej, która rozbu-

dowył i której bronil doostatka Stefan Starzyński. O Warszawie, w której zostały:

Rury, gruz, zwaliska,
Ucie i domy znajome z dzieciennych lat,
Taogutta i Świętokrzyska,
Nocą i Nowy Świat.
I tylko miasto na skrzydłach sławy
Lepada kamieniem na serce. Do dnia.
Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy.
Niech trwa!

Oczywiście, niech trwa! Nie napróżno Warszawa syrenę ma w herbie, i teraz dopiero możemy zrozumieć sens tego jęła. Cały więc tomik wierszy o Warszawie będzie alarmem nieodwołalnym, gdy przeczytamy te czerwone wieszce, achcące gorzko i słodko zarazem, zabęgną bic głowa o płótno namiotu albo ścianę hotelu. To drugie boli bardziej, pewniak pod słowem. Ale może trzeba, by bolało, aby rwało do żywego bez zjeżdżenia.

Jest w drodze i antologia poezji polskiej wojny. Robi się także książka Suskiego „Ta, o którą walczymy”. Naprzekór stawia, jest to raczej rzecz z gatunku ścisłych. Geografia, statystyka, słowni, wiedza o Polsce, o wszystkim co było, o wszystkim co rozkradli brzozi i czerwoni złodzieje, o wszystkim co zostało i zostać musi na wieki. W. Panowie Mackiewicz pisze historię, w. Panowie przynajmniej historia polska, indywidualna, zamasyta,

provokująca dyskusję. W listopadzie wyjdzie „Wierna rzeka”. Książka potrzebna, przeczytamy bowiem u Żeromskiego słowa takie: „Polskie plemie popadło między dwa mlyńskie kola zagłady — między Niemców i Moskwę. Musi się stać samo mlyńskim kamieniem, albo będzie zmielone na pokarm Niemcom i Moskwie. Niema wyboru. Zbyteczne jest wszelkie o tem slowo”.

Tak niema wyboru, choćby to bardziej jeszcze nie podobało się pewnym dziennikom angielskim, choćby jeszcze bardziej nicowaci miały exposé naszego ministra spraw zagranicznych. To jest nasza sprawa, nasza rodzona. Co więcej, dzisiaj, gdy wśród nas, na bruku londyńskim, zaczynają uporczywie rodzić się jakieś niezdarne idee słowiańskie, gdy słychać coraz częściej majaczenia panslawistyczne (o, Boże, tego tylko brakowało! przecież i Komintern nie tak dawno założył jakiś instytut słowiański!), otóż właśnie dzisiaj pod adresem tych nadwołańskich Słowian („Kto mi powie, że Moskale są to bracia nas — Lechitów...”) należy powtórzyć za Żeromskim słowa Odrowąża: „Jesteśmy śmiertelnie wrogowie”. I na tem należałoby zlikwidować niewczesne pomysły słowiańskie.

Propaganda nasza jest wzorem, jak należy pracować odatyzować. Wszystko, wszystko pozostawiono niejczytelnie przy-...ora jeśli idzie o ten wydawniczy spisie się nieźle i zdradza żywot-

oficjalnym, w tym kierunku propaganda nasza nie być dyskretna aż do samozaparcia, aż do obstrukcji.
Rzecz prosta, niektóre zamierzenia mogą wywołać sprzeciw. Np. dlaczego „Wesele” a nie „Wyzwolenie”? Ja obojętnie wolałbym „Wyzwolenie”, choćby ze względu na akt drugi, na proces myślowy Konrada, na jego walkę z Maskami, których nie brak i dzisiaj. W hierarchii potrzeb umieściłbym „Wyzwolenie” na pierwszym miejscu, choć przyda się, przyda się bardzo i „Wesele”. Przeczytamy sobie głośno albo każdy z nas przeczyta sobie pociechu słowa: „Możeby nieszczęście nareszcie dobiło nas z piersi krzyku, krzyku, który byłby nasz, z tego pokolenia”. Przeczytamy sobie te słowa rozpalone i gruchniemy się kulakami w piersi, aż pójdzie echo i po Londynie i po obozach. Bo też nieszczęście spadało takie, jakiego nie znajdziemy w naszych dziejach, choćbyśmy

się dobrali do najkrwawszych, do najbardziej rozbolanych bebecłów, do samych trzewi polskiej historii. A krzyk? Czy jest on na miarę naszej klęski, na miarę naszej wiary w zwycięstwo, w odmianę naszej losu? Czy jest on naprawdę krzykiem z tego pokolenia, które przetrzyło tragedję, które rzuciło kraj i do kraju wrócić musi? Gdyby wrócić nie miało, lepiej nie żyć. A żeby wrócić, trzeba wydać z siebie krzyk, który byłby nasz, z tego pokolenia, czy więc czekać mamy na nieszczęście jeszcze większe?

W tych dniach ukazała się „Warszawianka”, za smutna może, za ponura. „Kto zwycięży wolnym będzie, kto umiera wolny już”. Taką to „piśnkę Francuzi nam przysyła”. I znowuz słowa dzwonne: „Choć Francuz dał pomysły, zdaleka się patrzy...nie zgadby, że pieśń bólem drga”. A możeby i zgadł, kto go wie? W bieżącym miesiącu mają ukazać się również „Księgi pielgrzymstwa i nardu polskiego”, na które kręcił ktoś z mej obecności głowa. Kręcił, bo może czytał dawno bardzo, może nie czytał wcale. Radzę mu, skoro książka wyjdzie, niech z pierwszego zółdu kupi tę książeczkę i gdy mu będzie strasznie źle, gdy już zacznie zlorzączyć, kład rany na piersiach rozdzierać i wyc z bólu, wyc jak pieśń, niech sobie przeczyta słowa: „A trzeciego dnia dusza wóci do ciała i naród zmartwychwstał i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli”.

nam nie zdaje przypadkiem, jakobyśmy, właśnie my, byli „duszą”. Dusza została tam, kraży nad krajem, nad ciałem, i wróci pierwsza. Zanim my zdamy. Pisząc „my”, mam na myśli cywilów. Żołnierze wróca przedzę. Nie wiem, może właśnie oni są „duszą”? Może przez nich zmartwychwstał naród i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli?

My, cywile szarzy, wydajemy, czytają oni, żołnierze. Piszą jednak nie tylko cywile, piszą i wojskowi. Np. gen. Norwid-Neugebauer napisał rzecz o kampanji wrześniowej, która ukazuje się pewnie w listopadzie. Z próbkii nie bez wartości, drukowanej przez „Wiadomości Polskie” (nr. 30), wróżyć chcieli niektórzy o całej książce, twierdząc, jakoby miała to być apologia przedwrześniowej Polski. Nie sądzę. Raczej książka ta, zatwierdzona przez sztab, odsłoni nam rzeczywistość a zarazem wydobędzie na światło dnia wkład, który zwycięży w wojnie maszynowej.

Żołnierze także a pisarz wspaniały, krzyżem walecznych za udział w walkach pod Narvikiem odznaczony, Ksawery Pruszyński, kończy pamiętniki norweskie. Fiedler da przedruk swej pysznej książki „Ryby śpiewają w Ukajali”, wyjdzie także dziewiąte wydanie „Przylądka Dobrej Nadziei”, pióra popularnego członka Rady Narodowej, Nowakowskiego, lecz jest to drobiazgi, przyczynek zaledwo, podczas gdy główny nacisk położono na rzeczy podstawowe: „Trylogia”, „Placówka”, wybór pism Pilsudskiego.

Tu muszę z wolna odsłonić karty i wyznać, że przecież na tę „Trylogię” poczekacie jeszcze. Ma ona, jak wspominałem, stron 3580, a strony te trzeba... sfotografować. 3580 zdjęć! Bagatela! Co gorsza, jest w całym Londynie jeden jedyny przyzwoity egzemplarz, własność „British Museum”, które niema książek na wynos. Nawet Król Jegomość nie dostałby jednego tomu do domu, a cóż dopiero my? Zdjęcia muszą więc być zrobione na miejscu, potem będą klisze, matryce, potem weźmie się do roboty drukarz, potem introligator i dopiero potem, po tem wszystkim weźmiecie się do czytania Wy, Panowie Żelmerze.

Wydawca rzuci Wam tę „Trylogię” na pożarcie i załatwiecie się z nią błyskawicznie. Polkniecie ją tak jak polyka lew. I nie zostanie ani śladu z „Trylogii”, a przecież będzie jej pełno w obozie, pod każdym namiotem, w głowie każdej i w sercu każdym.
— A wylizycie mi, ale po porządku, wszystkich, których usiekił Burdabur? A odpowiecie na pytanie, jak awansował i kiedy dostał przydział Skrzetuski? Jakiemi drogami wędrowała Helena z Zagłobą? W jaki sposób zginął brat Horpyny i jak miał na imię? Co pokolei wycygnął Rzedzian od Skrzetuskiego? Jaki to był pas, o który się przymówił? — Kropiaty! — wypadnie chóralna odpowiedź.

W NIEDLUGIM CZASIE UKAŻE SIĘ TOM
WIERSZY O WARSZAWIE
Stanisław Baliński — Antoni Bogusławski — Wiktor Gomulicki — Marja Konopnicka — Kazimierz Laskowski — Tofil Lenartowicz — Adam Mickiewicz — G. K. Norwid — Artur Oppman (Or-O) — Włodzimierz Perzyński — Antoni Słonimski — Edward Słoiński — Juljuszłowacki — Władysław Syrokomla — Juljan Tuwim — Kazimierz Wrzyński — Jerzy Żuławski
M. I. KOLIN (Publishers) Ltd., 36, Great Russell St., London, W.C.1

STANISŁAW BALIŃSKI

WIERSZY

DRUGA OJCZYZNA

We Francji było sennie,
Noce wschodziły wczesnie,
Dnie szeleściły snami,
Żyło się trochę we śnie.

Akacje i kasztany,
Pachnące jak narkotyki,
Sączyli się przez skórę
I przytępiły dotyk.

I znieczulały rozpaczą,
Krwawiącą w serca głębi,
Pod niebem, pełnym słońca,
Obłoków i gołębi...

Tak ją zapamiętamy
W kwietniowy dzień spokojny,
Uśpioną, jak eterem,
Przed sztyletami wojny.

Choćby nas nie poznała,
Gdy ze snu wstanie w czerni,
My ją będziemy kochać,
Zawsze będziemy wierni.

Nie zapomnimy nigdy,
Choć myśl gdzieindziej wzlata,
O tej, co była kiedyś
Drugą ojczyzną świata.

DO PRZYJACIÓŁ W PODRÓŻY

Niech nas zawiedzie jeszcze tę pasterska ścieżka
Przez nowogrodzkie łąki o letnim poranku,
Tam — gdzie chyba już zawsza nasza młodość mieszka

W domu dziadka poety, na pochylonym ganku,
Niech nas zawiodą jeszcze, na i tyłu innych,
Ścieżki, prócz samym sobie, meznane nikomu.

Przez ogrody wyjęte ze wspomnień dzieciennych
Pod zarośnięte okna rodzinnego domu.

Ach, gdybyż wystarczyło dłoń w morzu zanurzyć
Lub gwiazdy pytać drżące w czarnej noc wrześniowej.

I albo z piany morskiej, albo z nieba wróżyć,
Czy tamte drzewa dla nas zakwitną nanowu?

Lecz wróży niełaskawo: wody chłodem wieją,
Księżyce krwawi, a gwiazdy błyszczą nieprzytomnie,
I tylko serce wiernie uderza nadzieją,
Dniem — ciężką od gorczy, a nocą — od wspomnień.

OSTATNIA MELODJA

W dniu, pełne róż niepotrzebnych,
Gdy Paryż, jak widmo, gasł,
Biegłem do sklepu naprzeciw
Pożegnać ostatni raz

Miłą francuską dziewczynę
O twarzy świeżej jak maj,
Która wierzyla, że Francja
I wolność — to jeden kraj.

Lecz sklep zamknięty na klódkę,
Za szybą — gusto i mrok,
W oddali dudnił już smutkiem
Pośpepny niemiecki krok.

Ktoś z kalendarza w pośpiechu
Odhodząc pół kartki zdarł
I drżącą napisał ręką:
„Fermé — jusqu'à la victoire”.

Ta kartka, te biedne słowa,
Przybite na głuchych drzwiach,
Gonią mnie odłąd w podróży,
Melodją wracają w snach.

Paryż wyrasta za nami
Jak sklep, pełen zjaw i mar,
Na którym ktoś tak napisał:
„Fermé — jusqu'à la victoire”.

STANISŁAW BALIŃSKI.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

136 b 1992

cz 4570/1940

darce, nie dostępującej mu kolan, w zgrzebnych spodniach, kłopskich butach i czerwonym szalku na szyi.
 — Ten? — zapytał doktor.
 — Powiada, że pojedzie... śmielek. Ja konia mogę dać, ale gdzie to w taki czas...
 — Słuchaj, jeżeli wrócisz za sześć godzin, dostaniesz ode mnie dwadzieścia pięć, trzydzieści rubli, dostaniesz... co chcesz... słyszysz?
 Chłopczyna popatrzył na doktora — miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał.
 Utarł nos palcami, bokiem się odwrócił i czekał. Doktor powrócił do stolika nauczycielki i zaczął pisać. Ręce mu się trzęsły i skakały co chwila do skroni. Kombinował, pisał, przekreślał, darł papier. Wystosował list do aptekarza, prosząc aby natychmiast wysłać konie do miasta powiatowego po tamtejszego lekarza, prosił o wysłanie mu chiminy; nachylał się nad chorą, badał ją jeszcze. Wyszedł wreszcie do kuchni i wręczył list chłopakowi.

— Mój bracie, — mówił jakimś nieswoim, dziwnym głosem, kładąc ręce na ramionach wyrostka i wstrząsając nim, — co kof skoczy, co tchu... Słyszysz, mój bracie!... Chłopiec skłonił mu się do nóg i wyszedł z sołtysiem.
 — Ta nauczycielka dawno tu u was wsi siedzi? — zagadnął doktor Paweł babine, przytulił ją do kominu.
 — Trzy zimny... jakiś bodaj.
 — Trzy zimny. Nikt tu z nią nie mieszkał?
 — A ktoż to miał... ja jeno. Przygaręło mnie chudziatko... „Służby — powiada — już nie znajdziecie, babko, a u mnie ta roboty nie wiele... aby ta, aby...” Teraz masz: com sobie obiecywała, że mi trumne sprawi, to ja... módl się za nami grzeszonymi...
 Zaczęła niespodziewanie szeptać modlitwę, odcinając wyraz od wyrazu i poruszając wargami jak wielbłąd. Głowa jej się trzęsła, zmarszczeniami wlewały się izy do ust bezczynnych.
 — Dobra była...
 „Babka” zaczęła chlpać śmiesznie i machać rękami, jakby pragnęła od siebie doktora odegnać. Wszedł do pokoju i zaczął na palcach chodzić po swojemu, dokola... chodził, chodził... Zatrzymał się od czasu do czasu przy łóżku i z gniewem, od którego białeły mu wargi i wyszczerzyły się zęby, mówił do chorej: — Niemądra byłaś! Tak żyć nie tylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegóż jednego spełnienia obowiązku: zjedzą cię idjoci, odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli się im oprzesz w imię swych głupich złudzeń, to cię śmierć zabije najpiękniejszą, boś za piękna, zbyt ukochana...
 Jak płomień suche drzewo, obejmowało go dawne, przeżyte, zapomniane uczucie; zjawiało się porwijące jak niegdys i zabójco słodkie. Wniawiał w siebie, że nigdy o niej nie zapomni, że do tej chwili ją uwielbiał i pamiętał... Przypatrywał jej twarz z tajemną, jak jakiś nienasyconą ciekawością, i cichy, przesyłając jej ból wesoła, coś śmiejąc. Trzy lata tu mieszkała obok niego — dowiaduje się o tem gdy mu umiera...
 Wszystko co go spotykało tego dnia, wydawało mu się jako dalszy ciąg udręceń przymusowo-borsucznego istnienia. Jednocześnie rozchyłał się jakiś tajemniczy horyzont, jakiś ocean ginący we mgłach. Po nerwach jego, aż do najdalszych ich gałązeczek ściekały zimne drzewce. Miotł się jak śliz na błotnistym dnie strumienia wychowany, gdy go zanurzyć w wodzie morskiej...
 Toteż całym wysiłkiem rozpaczliwej niecierpliwości uchwycił się wspomnień, uciekł w nie przed nieznosną rzeczywistością, zatonął jak w obłoku mgły przedświatu.
 Za jakąbądź cenę pragnął być choćby przez chwilę sam, aby myśleć, myśleć...
 Z pokoju nauczycielki wszedł przez małe drzwiczki do dużej izby, zastawionej ławkami i stolkami. Tam usiadł w ciemności i niby skąpiąca ducha, niby obmyślając środki ratunku, zaczął wspominać. Oto co sobie przypomniał.
 Jest ubogim studentem czwartego kursu. Idzie w poranek zimowy do szpitala, tak misternie stawiając nogi, by nie wszyscy przypadkiem widzieli, iż dziury w podszwach tekturną umiejętnie są pozaty-

kane. Paltocik ma ciasny, jak kaftan warjata, wytarty tak dalece że żyd letnią porą ośmiu zaś złotych dać nie chciał. Bieda nastroja go pesymistycznie, wtrąca w jakiś stan ciągłego smutku, który jest czemś nieskończenie większym niż nuda przykra, lecz daleko mniejszym niż cierpienie. Można się z tego obudzić natychmiast: dość jest wypić kilka szklanek herbaty, zjeść befszytk, lecz herbaty nie pił i obiadu prawdopodobnie jeść nie będzie. Biegnie niemal po brudnym błocie z ulicy Długiej, aby o trzy kwadranse na dziedzińcu wchodzić w bramę ogrodu Saskiego. Tam spotka panienkę, przedzie obok niej, przyjrzy się ciężkiemu, długiemu, jasnopopielatemu jej warkoczowi... Ona nie podnieś oczu, zmarszczy brwi, podobne do prostych a wąskich skrzydełek jakiegoś ptaka.
 Spotykał ją wówczas w tem samym miejscu codziennie. Szła szybko na Krakowskie Przedmieście, wsiałała do tramwaju i jechała na Pragę. Nie miała więcej nad siedemnaście lat, a wyglądała jak stare pannisko, w baszkyku, zarzuconym niedbale na futrzaną czapkę, w kaloszach za dużych trochę na jej małe nogi, w niezgrabnej i niemodnej salopce. Niosła zawsze pod pachą jakieś kajety, arkusze zapisane, książki, mapy. Raz jeden, czując się w posiadaniu kilku dziesiątek, przeznaczonych na obiad, postanowił zbadać, dokąd ona jeździ. Puścił się wtedy w pogon, wsiadł do tego samego, dziesięciogroszowego przedziału, lecz zaraz po zajęciu miejsca stracił całą odwagę. Nieznajoma zmierzła go wzrokiem tak okropnej pogardy, że niezwłocznie wyskoczył z tramwaju, tracąc tym sposobem wazkę rosołu i nie nie wskórał.
 Nie czuł jednak do niej żalu — tem wyżej, dalej się wzniosła. Myślał o niej pominiwoli, bezwiednie, bez przerwy. W ciągu całych godzin usiłował przypomnieć jej włosy, oczy, usta o kolorze torebek owoców dzikiej róży — i wysłał pamięć nadaremnie.
 Zaledwie mu znikła z oczu, znikały z pamięci jej rysy — zostawało natomiast natrętnie widmo, podobne do białego obłoku o niejasnych rysach, które szło przed nim gdzieś góra. Obłok ten gonili jego myśli z tęsknotą i pokorną bojaźnią, z odrobiną nieuchwytnego żalu, ze smutkiem i nieodegnaną sympatią. Szedł co rano, by żywą dziewczynę ze swem widmem porównywać. I wydawała mu się ta żywa piękniejsza, napawała go jakimś strachem jej kryniczną, mądre oczy...

Podówczas jeden z jego kolegów, tak zwany „Ruch” w przestroni, wielki „społecznik”, zaczynający wiesznie pisać wstępne artykuły, których kończył nie pozwalając mu brak potrzebny potem książek, nagłe i niespodziewanie „wziął” i ożenił się z ubogą, jak myślał kościelną, emancypanką.
 Znała wniwola „Ruchowi” w posęgi starszy dwunaj, dwa rondelki, gipsowy posąg Mickiewicza i kilkanaście nagród gimnazjalnych. Młodzi małżonkowie zamieszkali na czwartym piętrze i zaczęli zaraz po ślubie głodem przymierać. Udziałli oba kołepetyli z takim zapętem, że rozbiegłszy się rano, spotykali się dopiero wieczorem. Dom ich jednak stał się punktem, do którego zmierzali wieczorem każdy „społecznik” w zabłocach sandałów, aby się wysiedzieć na fotdu, napalić cudzych papierosów, nagadać o ochrypienia i wydać ostatnie kilka groszy na składkę, za którą uprzejma gospodyni kupowała bulki i serdelki, układała artystycznie na talerzyku i częstowała gościnnie. Można się tam było zawsze z kimś spotkać, zaznajomić z nieznanymi do tej pory wielkimi ludźmi, z koleżankami gospodyni, a niejednokrotnie można było pożyczyc czterdzieści groszy. Jakże pobladł Obarecki z radości, gdy wchodził pewnego wieczora do tak zwanego salonu, ujrzał ukochaną swoją panienkę w gronie koleżanek! Rozmawiał z nią i aż do nieprzyzwoitości tracił przytomność...
 Wracając tego wieczora do domu, pragnął być sam — nie marzyć, ani myśleć, tylko być z nią całą duszą, wszystką ją mieć w oczach, w uszach, mieć dźwięk jej głosu, tak myśleć jak ona, zamknąć powieki, i niechaj idą pod niemi te obrazy, które wydzierają się z serca. Pamiętał jej oczy przedziwne, posępne a miłosierne, łagodne a tajemniczo myślące, w których prze-

KAZIMIERZ TETMAJER
ZBROJA ZAWISZY
 A kiedy się szykowała wyprawa krzyżowa,
 Przyszedł Czarny pan Zawisza — Sulimczyk z Garbowa
 Do płatnerza praeświętnego krakowskiego cechu,
 Co w fartuchu stał z miode — arcymistrz od miechu.
 — Uczyni-że mi — proszę, bracie — zbroję jak się patrzy,
 Zbroję nową na bój świąty, od tego nie gładzisz,
 Którym kiedyś z królem Janem z Aragonu zwoził
 A któregom wyparł z siodła, ledwem go ugodał,
 Kiedym właśnie u cesarza przebywał na dworze,
 Gdzim w estymie był obrutnej i śgim honore.
 Posłyszawszy że się krzyżak na Polskę poruka
 Wrazem jechał aby łancuch nie był bez ognia,
 Dosyć krwi już wylał i zostawił zbliszczy,
 Dość już dzieci wymordował i grólów natiszczył,
 Wstanie Polska jak łew z leży i nocna i mściwa,
 Więc kuj zbroję — aby łancuch nie był bez ognia,
 Ma być zbroja hartowana, z grubej w plecach blachy,
 Abym ciężki był na koniu — jak krakowskie gimnacy,
 Ma być zbroja szmelcowana, bym jak miesiąc lśnił się,
 By wiedzieli gdzie Zawisza i jak to on bit się,
 Grubo kuj mi zbroję na uda i negoleniki,
 Bym parł konia, jak kwi drzew, kiedy rancę w szyki,
 Na ramiona kuj mi grubo, bym gdy w niej uderzę
 Taki ciężar miał w miecza, jak kopali mincerze,
 Li na piersi — kuj mi cienko, cienko jak oplatak,
 Niechaj będzie tak tak cienka — jak lilii płatek,
 Jako lilij kuj od przodka, bym też za Ojczyznę
 Jesli Niemiec to potrafi — wąd serdeczną bliźne.

KAZIMIERZ TETMAJER.

zała jakaś głębina. Doznawał uczucia radości i spokoju, jakby po skwamej i dręczącej podróży doszedł do czystego stoku, ukrytego w cieniu sosen na wyżynie górskiej.
 Otaczano ją szacunkiem, przywiązywano szczególną wagę do jej słów. „Ruch”, przedstawiając Obareckiego nieznajomej, wydeklarował poważnie:
 — Obarecki, refleksjonista, marzytel wielki leniuch, zresztą przyszła sława panna Stanisława Bzowska, nasza „darwinistka”...
 „Wielki leniuch” dowiedział się „darwinistka” niewiele: ukończyła gimnazjum, dawała lekcje, miała zamiar jechać do Zurychu czy do Paryża na medycynę, nie miała grosza przy duszy...
 Spotykali się otąd w „salonie” często. Panna Stanisława przynosiła pod salopką futn cukru, jakiś zimny kotlet w papierze, kilka bułek; Obarecki nie nie przynosił, ponieważ nie miał, pozerzał zato bulki i pozerzał oczami „darwinistki”.
 Raz nawet, odpowiadając ukochana do domu, panna Stanisława mówiła, że postanowiła się uszczuplić i pojechała do przyjacielkim uściśnieniem ręki. Wkrótce potem znikła; wyjechała na Podole, jako nauczycielka, do jakiegoś wielkopolskiego „domu”...
 Spotyka ją teraz oto w tym zapadłym kącie, w tej wsi ukrytej w lasach, zamieszka- kanej przez chłopów samych, gdzie niema

woru, gdzie niema żywego ducha... Sama tu żyła w tej puszczy. Teraz umiera... zapomniana...
 Wszystkie dawne zachwyty, niespełnione sny i pragnienia zrywają się nagłe i biją w niego jak porywy wichru. Serce ścisła mu ból chorobliwy, i jad namiętności wszcza się nieznacznie w krew wzburzoną. Powrócił na palcach do łóżka chorej, oparł łokcie na jego poręczy i nasycił się widokiem nagich ramion, które cudownymi linjami kojarzyły się z zarzem piersi i szyi. Paniącką kosa. Na skroniach jej nabrzmiały żyły, z zagiętych ku dołowi kątów usta zacyła się ślina, gorąco od niej było, powietrze wpadało do ust z głośnym świstem. Doktor Paweł usiadł obok niej na krawędzi łóżka, pieścił rękami miękkie końce promieni włosów, głąskał się niemi po twarzy, dotykał ich wargami z wydzierającym mu się z piersi szlochaniem.
 Stasiu, Stachno...kochanko... — szeptał cicho, aby jej nie obudzić — nie będziesz na zawsze słyszysz... na wieki...
 Usiadł potem obok wędzłowia chorej na stolku i zapadł znowu w marzenia. Bujna młodość zbudziła się w nim z letargu. Wszystko teraz będzie inaczej. Czuję w sobie siłę atlety do pełnienia uczynków, które z serca płyną. Boleść i nadzieja miesza się jakby w płomień, który liże

BOHDAN ZALESKI
C E D R
 Mam ja ojczyznę u Ojca, u Boga
 W nieskończoności czasu i rozstrzeni;
 Piastunko marnych i znikomych ciemi,
 Czemuś mi, ziemska Polsko, taka droga?
 Polsko! tyś różdżką z po-rąjskiej rozszady,
 Ciśmiona ręką Bożą na przestworza —
 Tam, na równiny, pomiędzy dwa morza,
 Wyrosłaś oto na cedr gromowładny.
 O! cedrze, cedrze polski, Boży szczępie
 Zieleni świeżej, bujnej, a bez kwocia;
 Szumisz pieśniami mnogie już stulecia,
 Ponad lasami, wodami, po stepie.
 Cedrze ojczyste mój, przez wieków tyle
 Mijają ziomków wędrowne tysiące,
 Jak ptactwo Boże wciąż odlatające,
 Goszcząc w konarach tu zaledwo chwile.
 Mam ja ojczyznę u Ojca, u Boga,
 W nieskończoności czasu i rozstrzeni;
 Piastunko marnych i znikomych ciemi,
 Czemuś mi, ziemska Polsko, taka droga?
 Cedrze zielony, cedrze rozpiewany,
 Wieniec i pieśni twoje, po wsze czasy
 Osobnej woi i osobnej kraje,
 Podność, och! podność ku Panu nad pany!
 Wieszczy, krzyżowy, tajemniczy cedrze,
 Błogosławione tam też i krwi dzoje!
 Boć nabrzmiewają już pąkwia twoje
 Nim miśmiertelny kwiat błony rozodrze...
 Mam ja ojczyznę u Ojca, u Boga,
 W nieskończoności czasu i rozstrzeni;
 Piastunko marnych i znikomych ciemi,
 Czemuś mi, ziemska Polsko, taka droga?
 BOHDAN ZALESKI.

STEFAN WITWICKI
DO JGA
 Wszchemocny Boże! Ojcew naszych Panie
 W Tobie nadzieja nasza i odwaga!
 O wsparcie Twoje, o swe zmartwychwstanie
 Twój lud Cię błaga!
 O, zbaw nas, Panie! Przyjm zbierzące głasy
 Wzmóż siłę naszą, daj nam zgodę, męstwo!
 W Twem świetle rękę składamy swe losy!
 Daj nam zwycięstwo!
 Dawno, o Panie, już nas jarzmo ciśnie!
 Dziedzinę naszą wrogą rozszarpały;
 Niech po dniach kary dzień łaski zabłyśnie,
 Wróć nas do chwały!
 Krwi nie wolamy, zdobyć nie chcemy,
 Nie chcemy mordów, do łupieżstwa niezdolni;
 Tylko odzyskać ojczyznę pragniemy,
 Tylko być wolni!
 Ty, coś przed wieki był z ojcy naszymi,
 Ty, powróć wnukom dziadów ich puszciznę!
 O Boże, polskiej pobjogostaw ziemi!
 Zbaw nam ojczyznę.
 Niech przed Twym ludem wrogi się ustraszą,
 W młodzieńców serca tchnij rycerzy męstwo!
 Za Twoją chwałę i za wolność naszą
 Daj nam zwycięstwo!
 STEFAN WITWICKI.

mózg, trawi go, nie da mu spocząć.
 Noc mijała. Godziny upływały leniwo, lecz upłynęło ich już od wyjazdu posłańca więcej niż sześć. Była czwartka po północy. Doktor zaczął nasłuchiwać, zrywał się za każdym szelstem. Co chwila zdawało mu się, że ktoś idzie, że otwiera drzwi, że stuka w okno... Wsłuchiwał się całym niemierzonym. Wiatr huczał, sztyber w piecu kolatał — zresztą cisza znowu. I biegna minuty, trwające po sto lat, w ciągu których niecierpliwść rozpręży nerwy i wprawia go w ruch dygotania całego ciała.
 Gdy po raz szósty mierzył temperaturę, chora otwarła z wolna oczy, które w mroku rzęs wydawały się prawie czarne, patrzyła w niego z uporem i wyszeptła jakimś skrzeczącym głosem:
 — Kto to?
 Zapadał jednak zaraz w stan poprzedniego bezczucia. Pocięszał się, jak skarbem, tą sekundą świadomości. Ach, gdyby mieć chininę, zmniejszyć jej ból głowy, powrócić przytomność. Posłaniec nie nadjechał i nie nadjechał.
 Przed świtem doktor Obarecki szedł wzdłuż wsi, po głębokich zaspach, ludząc się ostatnią nadzieją, że go zobaczy. Złe przeczuć, jak koniuszek igły, wrzynało mu się w serce. W nagich gałęziach topoli przydrożnych glucho huczał wiatr, choć burza ucichła. Z chat wychodziły kobiety po wodę i dźwigały ją w konewkach, zagięte powyżej kolan. Parobcy „zadawali” bydłu, z kominów dym się wznosił. Tu i owdzie z otwartych na chwilę drzwi wybuchal obłok pary.
 Doktor odnalazł chatę sołtysa i zaczął natychmiast zaprzęgać konie. Sprzężono ich dwie pary, i jakiś parobczak zjechał przed szkołę. Doktor pojechał chorą oczami, rozszereżnionymi od znużenia i rozpacz, wsiadł na sanie i pojechał do Obrzydłowa.
 O godzinie dwunastej w południe powracał, wioząc swą apteczkę, wino, cale zapasy żywności. Stawał co chwila na sianach jakby pragnął wyskoczyć i wysięgnąć konie, w cwał biegnące. Zjechał wreszcie przed szkołę, lecz nie wysiadł... Zdławiony, krótki wrzask wydął mu się z ust, wykrzywionych prawie ukośnie, gdy ujrzał otwarte okna domostwa i gromadkę dzieci tłoczącą się w sieni. Szedł błąd, jak plótno, do okna, zajął i został tam, lokami oparty o futrynę.
 W obszernej izbie szkolnej leżał na ławce rozebrany do naga trup młodej nauczycielki; dwie jakieś stare baby myły go... Drobne pyłki śniegowe wlatywały przez okno i osiadały na ramionach, na zmoczonych włosach, na półotwartych oczach umarłej.
 Doktor poszedł do pokoiku nieboszczki, zgarbiony, jakby na ramionach dźwigał górę. Usiadł, nie rozbiegając się na krzesłku i powtarzał jeden wyraz, w który zmieszcza się wszystko jego boleść:
 — Czy tak? czy tak?
 Było mu zimno jakby zmarzł, zamrtwił jakby w nim krew zastygła. Nie cierpiał, nie wierzył co mu jest, tylko po głowie biegał...
 Łóżko Stasi było rozkładane: koldra leżała na ziemi, przecieradło zwieszano się na podłogę, poduszka przepoccona leżała na środku łóżka. Drużniane haczyki okien stały monotomie o ramy szyb; listki jakiejś rośliny, mokrzące w donicze, zwieszaly się i zwijały od mrozu.
 Przez uchylone drzwi widział chłopów, klekających dokola ubranego już trupa, dzieci modlące się na książce, stolarza zdejmującego miare na trumnie...
 Wszedł tam i ochrypłym głosem rozkazał, aby zbić trumnę z czterech desek nieheblowanych, wiorów pod głowę nastać.
 — Nie więcej... słyszysz! — mówił do stolarza z tajemną wściekłością — cztery deski, nic więcej...
 Przypomniał sobie, że trzeba kogoś zawiadomić... rodzinę. Gdzie jest ta jej rodzina?...
 Zaczął z tepą, z idjotyczną zapobiegliwością układać na jeden stos książki, rejestry szkolne, kajety, jakieś rekopisy. Natrafił wśród papierów na początek listu:
 „Kochana Helenko! Od kilku dni czuję się tak źle, że prawdopodobnie przyniesie się przed oblicze Minosa i Radamentesa, Eakosa i Tryptolemosa,
 STEFAN ŻEROMSKI.

oraz innych wielu z półbogów, którzy i t.d. W razie tego „przeniesienia się stąd na miejsce inne” zechciej zażądać od wójta mojej gminy, aby pozostała po mnie puszcizną ksiązkową na ręce twoje wysłał. Opracowałam nareszcie „Fizykę dla ludu”, nad którą tyle nalamałyśmy sobie głów dziesięciu; opracowałam na brudno — niestety! Jeżeli ci czasu starczy, zawsze w razie mego przesiedlenia się na miejsce inne — uszykuj to do druku i zmus Antosia, niech przepisz; on to dla mnie zrobi. Ach, co za smutek!... Prawda!... księgarzowi naszemu winnam jedenaście rubli kopiejek sześćdziesiąt pięć... wypłać mu... Spencorem moim, gdyż puski u mnie w szkatule. Sobie na pamiętkę weź!”
 Ostatnie wyrazy nieczytelnie już były pisane kreskami. Nie było adresu — nie można też było listu wysłać. W szufładzie stolika znalazł doktor rekopis owej „Fizyki”, o którym w liście czytał, zwitki notatek i szpargałów, w szafce — trochę białizny, salopkę, kotkami podbitą, jakąś starą czarną sukienkę...
 Krzątając się po pokoju, dostrzegł w izbie szkolnej chłopaka, który jeździł po lekarstwo; stał przytulony w kącie obok pieca, przestępując z nogi na nogę. Zwierzęca nienawistnie zadrgała w duszy doktora.
 — Dłaczęgoś na czas nie wrócił? — zawołał, przyskakując do chłopca.
 — Zabłądziłem na polu, koń mi ustal... piechotą przyszedłem rano... panienka już wtędy...
 — Klamiesz!
 Chłopiec nie odpowiedział. Spojrzał mu doktor w oczy i dziwne doznał wrażenia; oczy te były zmęczone i straszne, wyglądała z nich, jak z podziemnej jaskini, chłopska, głupia, zdzięszala rozpacz, podobna do niedocieczonej tajemnicy.
 — Ja tu, panie, odnosłem książki, co mi ta nauczycielka pożyczyla — mówił, wyciągając z zanadza kilka wyszarzanych i zabrudzonych tomików.
 — Daj ty mi pokój... idź precz! — zawołał doktor, odwracając się od niego i uciekając do pokoiku.
 Tam stanął wśród porzuconych na podłodze rupieci, papierów, książek i ze śmiechem pytał sam siebie:
 — Czego ja tu chcę?... Nic tu po mnie, nie mam prawa!
 Objejmowała go cześć głęboka, zrozumienie, wwydawanie się pilne, wielka pokora. Gdyby tam został choćby godzinę dłużej, doszedłby do tego szczytu łafacza gór, na którym siedzi szaleństwo. W sekrecie przed samym sobą wiedział, że go zdejmię obawa o siebie. W tem wszystkim co go zmiażdżyło owej chwili, była ogromna niesymetria z nim samym, co go wyważało z glebi jego duszy ostarczyci rdeń uczuć ludzkich — egoizm — i egoizm ten dusząc, kazało naprawdę dać się otaczać tezą, która unosiła z ziemi te głupia dziewczynę. Trzeba uciekać co prędzej... Zgodziwszy się na wyjazd natychmiastowy, zaczął rozpaczliwie piękniemi fraszami, co było już ulgą. Pocięli się nad trupem Stasi i szepotal na jej uczczenie najpiękniejsze wraży, jakie wymarzyć mogły na chwale wielkości puste serca ludzkie. Zatrzymał się raz jeszcze we drzwiach, obejrzal; przez sekunde myślał, czy nie lepiej było umrzeć natychmiast, potem rozsuwał gromadkę chłopów przed drzwiami, wskoczył na sanie, przewrócił się na twarz, i poniosły go konie, duszące się spazmatycznym płaczem.
 Śmierć panny Stanisławy wywarła wpływ niejaki na usposobienie doktora Pawła. Przez pewien czas czytywał w wolnych chwilach „Boską komedię” Dantego, w winta nawet nie grywał, gospodyni dwudziestoczeroletnia odprawil. Stopniowo jednak uspokoił się. Obecnie ma się znakomicie; utyl, pieniędzy worek uciążliwy nabijał. Ożywił się nawet; dzięki jego usilnej agitacji wszyscy prawie optymaci obrzydłowsy, z wyjątkiem krzyklicyprawda, ale też milicjnych konserwatywistów, zaczęli palić papierosy w gilcach niesielajanych, zaszczytnie znanych pod godłem „nieszkodliwych pierściom”. Narzeciel!...
 STEFAN ŻEROMSKI.

KORNEL UJEJSKI
SUPLIKACJE
 „Święty Boże, Święty mocny,
 Święty miśmiertelny —
 Zmiluj się nad nami !“
 I ogarnął postrach nocny
 Twój lud niegdys dzielny —
 Zmiluj się nad nami !...
 Jako kłasy wstajem z bolem,
 Zgluszeni kąkołem —
 Zmiluj się nad nami !...
 „Od powietrza, głodu,
 Ognia i niewoli —
 Wybaw nas, Panie !“
 Od wrażego rodu
 Pastwy i swawoli —
 Wybaw nas Panie !
 Od bratniej niezgody
 Przy czerpaniu wody —
 Wybaw nas, Panie !
 „Od zgonu nagłego
 Bez skruchy paierza —
 Zachowaj nas, Panie !“
 I od zelżywego
 Z wrogami przymierza —
 Zachowaj nas, Panie !
 Od pokosu do grzechu,
 Bludźnierzczego śmiechu —
 Zachowaj nas, Panie !
 „My grzeszni Ciebie
 Boga błagamy —
 Wysłuchaj nas, Panie !“
 Przez Ojcew w Niebie
 Bez grzesznej płamy —
 Wysłuchaj nas, Panie !
 Przez pełnię czasy
 Lecz i krwi naszej —
 Wysłuchaj nas, Panie !
 KORNEL UJEJSKI.

ARTUR OPPMAN (OR-OT)
ZA KROPLĘ MOJĘ NIEMIECKIEJ KRWI
 Nad moją młodą, dziecięcą skronią
 Lataly echa rycerskich lat,
 Wiał na chorągwi Orzeł z Pogonia
 Od pół Grochowa, gdzie stał mój dziad;
 Od pół Grochowa z wałów Warszawy
 Mam list żelazny puścizny krawcaj
 Za kroplę moję niemieckiej krwi!
 Ta krew, z Turynji rodem dalekiej,
 Daeno wyciekła śród polskich dróg,
 Żyli my razem długie dwa wieki,
 Pod armat paszczą splecając dług,
 I znam tradycje sybirskich lochów
 Z błogosławieństwem samotnych prochów
 Za kroplę moję niemieckiej krwi!
 Bo tyś umiała, o Polsko święta,
 Duchów być panią w swe krawawe dni,
 Na sen o sławie na śmierć i pęta
 Za Ciebie obcy tak dumnie szli!
 Ach, tak jak oni, z palaszem w dłoni
 Marzyłem umrzeć w Jutra pogoni —
 Za kroplę moję niemieckiej krwi!
 I te piosenki, co się budziły,
 Artur OPPMAN (OR-OT).

CHINY

NIECH ŻYJE GŁÓD!

OSOBY posiadające egzemplarze „Wiadomości Literackich” proszone są o porozumienie się z redakcją „Wiadomości Polskich” 36, Great Russell Street, (tel. MUSeum 2563 albo 2346).

PRZYCZYNY SŁABOŚCI

Ksawery Pruszyński zachęca w artykule „Oni i my” („Wiadomości Polskie”, nr. 31) bismy poszukiwać przyczyn, które sprawiły, że tak znacząca część nas różnica od wielkiej emigracji. Czemu tamci tyle mogli zdziałać zarówno artystycznie jak i politycznie, czemu my jesteśmy tak słabi i nieopadni? „Każdy niech poszuka, pomyśli. A może znajdziemy odpowiedź?”. Ośmielam się zaproszeniem, pragnę się podzielić wynikiem mojego w tym kierunku myślenia. Dwie są tu według mnie sprawy. Pierwsza, to zestawienie wielkiej twórczości polskiej, rozkwiłej na emigracji po roku 1831, z obecnym ubogim stanem piśmiennictwa. Druga, to wydziałek polityczny wielkiej emigracji i znaczenie politycznej emigracji obecnej.

Pierwsza sprawa wydaje mi się trudniejsza do dyskusowania. Mimo bardzo racjonalistycznego ujęcia zagadnienia, nie przypuszczam aby Pruszyński zjawisko twórczości ujmował w taine'owskiego punktu widzenia i przypisywał głównie znaczenie wpływom środowiska. Wzruszenie ramion, choćby to był ramiona profesora uniwersytetu, nie odbiera zagadnieniu twórczości posmaku irracjonalnego. Znaczenie lepiej od teorii Taine'a skonstruowany marksowski materializm dziejowy, zjawiska twórczości tłumaczy również w sposób dość płaski i nieprzekonywający. Działanie w jednym konkursie na malowidła ściennie brali udział Leonardo da Vinci, Michał Anioł i Rafael, a Botticelli był chwilowo zajęty czym innym, dlatego twórczość artystyczna wybuchła i gaśnie na całej stulecia — nie wiemy, a raczej wiemy tak mało, że dyskusja w tym kierunku nie wydaje mi się płodna. Za wielkie tu pole dla umiłowanej przez historyków sztuki i literatury „wariatologii”.

Sprawa druga wydaje mi się bardziej godna zastanowienia. Zastawiam znaczenie polityczne (dwa polskie emigracji), mam wrażenie, omija Pruszyński fakt najwęższy i decydujący. Rozbiór wielkiego państwa europejskiego, znaczenie moralne i polityczne upadku Polski było wtedy zjawiskiem pierwszoplanowym. Dziś znalazłbyśmy się w dołku. Państwa znikają z mapy europejskiej w przeciągu jednego przedpołudnia. Jestem jedną z ofiar wielkiego kataklizmu dziejowego, kataklizmu, jakiego, można to śmiało powiedzieć, ludzkość jeszcze nie przeżywała. Nie sądzę by Hétel Lambert i książkę Czartoryskiego mógł dziś walczyć z działo od naszego rządu. Nie znaczy to bym uważał, że obecne nasze próby pozyskania dla sprawy polskiej opinii światowej były wystarczające. Wprost przeciwnie. Słusznie stwierdza Pruszyński, że w czasach Czartoryskiego nie istniało słowo „propaganda”, ale istniało to co stanowi sens tego słowa. Dziś istnieje słowo, niema natomiast prawie zupełnie tego co toemu słowu sens i znaczenie nadaje. Chodzi jednak o rzeczy ważniejsze. Sprawa Polska mogła kiedyś ożywić myśli poruszając serca całej Europy — dziś o chwila ustępować musimy miejsca innemu krzywu (zommu narowidło. Istnieje nie tylko sprawa polska, ale austriacka, szaska, irlandzka, norweska, holenderska, duńska, belgijska, czy francuska. A ponad to, wszystkim istnieje wielka sprawa zasadnicza, wadliwa, nieprzemienne, już nie takich czy innych państw, a raczej, przyszły obraz świata. Pruszyński wspomina o wielkich stosunkach ks. Czartoryskiego i niejako przeciwstawia jego wszechstronną działalność naszym dzisiejszym placówkom z Portland Place. Bez względu na to co łączyło Czartoryskiego z cesarową Elżbietą, przykład ten wydaje mi się nieszezęśliwie dobrany. Upoki osobiste, wplywy, stosunki i knowania niewiele dziś znaczą. Byli coppersa tacy, którzy na osobistych stosunkach Wieniawy z Cjanem budowali nadzieje, że Włochy do wojny nie przystąpią, ale sam Wieniawa pewnie parsknął śmiechem, gdyby mu o tem powiedziano. Nie przypuszczam aby najbardziej uroczysty urzędnik obecnego naszego ministerstwa spraw zagranicznych zdołał rozkochać w sobie Stalina i by coś z tego wynikało. Niewątpliwie stosunki i czary osobiste i dziś oddać mogły sprawie polskiej poważne usługi, ale Czartoryski nie może być przykładem siły i aktywności polskiej polityki porobiorczej. Czartoryski, serdeczny przyjaciel cara, który dla ocelenia majątków rodowych poszedł na służbę moskiewską i jako wysłannik dworu rosyjskiego starał się księcia Józefa pełną na drogę porozumienia z Rosją, wielki pan i niewątpliwie człowiek światły, był już wtedy przedstawicielem polityki magnackiej, elitarniej, anachronicznej i przebrzmiałej. Obea mu była zdolność widzenia przemian, które niosł wiek XIX. Mam wrażenie, że w dzisiejszej naszej sytuacji baczna i wyteżona uwaga na przeobrażenia polityczne i społeczne bardziej będzie płodna od przeprowadzania analiz historycznych.

Nawyk myślenia w dawnych kategoriach politycznych zemeści się już na wielu krajach europejskich. Władnie ludzie pełni talentu i wyobraźni jak Ksawery Pruszyński wydają mi się powołani do tej pracy najpilniejszej. Dwie wojny rozgrywały się dziś jednocześnie. Oba jednakowo są nam ziemią zawieszona. Wojna samolotów i wojna idej. Walka nasza ma wciąż jeszcze charakter obrony. Bronimy się przeciw czemuś co jest dla nas złe. Negatyw zarysował się już z całą ponurą czarnościami, ale strona pozytywna tej wojny wciąż jeszcze jest zamglona i niejasna. W tym właśnie kierunku pragnąłbyśmy pełną dyskusję. Bo właśnie w braku wszelkiej szerszej współczesnej myśli politycznej widzę największą słabość naszej emigracji.

ANTONI SŁONIMSKI.

EWA CURIE
MARJA CURIE

przekład Hanny Szyllerowej
str. 440 cena w oprawie 5/6
M. I. KOLIN (PUBLISHERS) LTD.
36, Gt. Russell St. London, W.C.1

P.E.N. Club zawiadamia że sekretariat w godz. 18—19 w Domu Polskim (Princes Gate 55). Członkowie zgłaszający się po legitymację, proszeni są o przyniesienie fotografii.

com silny wzrost wszystkich niemal chorób, zwłaszcza wywołanych niedożywieniem. Zanotowano ogromne rozpowszechnienie się krzywej wśród dzieci; tak np. w organizacji „Hitlerjugend” 70% chłopców i dziewcząt cierpi na tę chorobę. Pogorszenie się jakości artykułów spożywczych spowodowało wzrost zaburzeń przewodu pokarmowego. Rzeczą charakterystyczną jednak, że w Niemczech nie odczuwa braku alkoholu, który można zawsze nabyć w dowolnej ilości; ludność korzysta z tego w pełni — świadkiem statystyka alkoholizmu.

Wrost śmiertelności wśród dzieci, rozpowszechnienie się chorób umysłowych, wenerycznych, zakaźnych i zawodowych — oto kilka dobrodziejstw, jakie Hitler przyniósł Niemcom. Mieszkaniec Rzeszy był już w r. 1937 niedożywiony i bywał w znacznie gorszych warunkach higienicznych aniżeli sześć lat przedtem. Nawet młodzież, ta chłuba i podpora régime'u, nie doznała uniknąć katastrofalnych skutków polityki głodu. Zdrowe naporóż zastępy „Hitlerjugend” cierpią poza krzywicą na choroby serca, gruźlicę i t. p. Lekarze stwierdzają, że podczas gdy w 1935/6 r. 75% poborowych zdolnych było do czynnej służby wojskowej, w r. 1937 odstępek ten spadł do 55.

Przemawiając do niektórych hasło Goeringa: „Armata zamiast masła”, sprzedawca się w rzeczywistości do dewizy: „Niech żyje głód!”. Hitler rozpoczął blokadę głodową Niemiec na długo przed Anglikami.

Wzrosłomym numerze powaźnego miesięcznika londyńskiego „The Nineteenth Century” ukazał się artykuł lekarza angielskiego W. A. Brendsa, który kwestjonuje ścisłość danych Gumperta i zarzuca mu nakreślenie fałszywego obrazu stosunków zdrowotnych w trzeciej Rzeszy. W krytyce swej dr. Brend postępuje się statystyką Ligi Narodów i atakuje przedewszystkiem twierdzenie Gumperta, jakoby hitlerem przyczynił się do zmniejszenia przylotu naturalnego. W mojej recenzji pominałem różniomy zagadnienia ludnościowe, gdyż ich związek ze zdrowotnością jest luźny, a wyniki hitlerowskiej polityki populacyjnej są przedmiotem dyskusji statystyków.

Na pierwszy rzut oka krytyka dr. Brendsa nie obala argumentacji autora „Heil Hunger!”. Być może, iż Gumpert wysnuł w niektórych rozdziałach przesadne wnioski, nieco przekręcał, ale jeśli podawane przez niego cytaty z autorów hitlerowskich nie są fałszywymi, a fałszerstwo miało być krótkie nogi, jego oskarżenie hitlerem nie zostało zachwiane. Dr. Brend operuje metodą porównawczą, wskazując iż Niemcy wciąż jeszcze są krajem dużej zdrowotności i stoją naczelną państw europejskich. Nie wolno jednak zapominać, iż nie łatwo jest zniszczyć pozytywne osiągnięcia lekarzy i higienistów niemieckich, którzy pracowali przez dziesiątki lat nad podniesieniem stanu zdrowotnego kraju. Hitler zatrzymał ten postęp, i jego rządy, zmierzające do jednego tylko celu, — szybkiego podbojów wojskowych, — odbiły się ujemnie na zdrowiu ludności.

Przytoczona przez Gumperta opinia dziesiątków lekarzy hitlerowskich świadczy wymownie, że w Trzeciej Rzeszy nie wszystko jest tak piękne jak to niektórzy malują.

SYDAR.

Sluchajcie waszych ulubionych w ich ostatnich kracjach



DANIELLE DARRIEUX
Dani Mon Coeur (Je ne sais pas l'aimo) 03036
Une Chanson: Au Vent léger 02979

LYS GAUTY
A Song Selection 02362
I Attendi Un Navire 02363

BING CROSBY
April Played the Fiddle 03031
I Haven't Time to be a Millionaire 03032
Meet the Sun Halfway 03033
Resumic Character 03019
You're My Heart's Delight 03019
Beautiful Dreamer 02974
Sweet Potato Pie 02974
Between 16th and 19th on Chestnut Street 02805
Standards I Cried for You 02805
Dancing in the Dark: Blue of the Night 02315

DEANNA DURBIN
Amapol: Love is all 03007
It's Raining Sunbeams: Brindisi (La Traviata) 02486
My Own: The Mad's of Cadiz 02705
Ave Maria (Gounod): Home Sweet Home 02804

GRACE MOORE
One Fine Day: Love Me Forever 0130*
Visit Paris: Serenade 0136*
Musetta's Waltz Song: Funiculi Funicula 02102

THE MILLS BROTHERS
Sleepy Time Gal: My Gal Sal 03042
Shine: Basin Street Blues 02844
Tiger Rag: Some of these Days 02920

THE ANDREWS SISTERS
Begin the Beguine: Long Time No See 02752
The Woodpecker Song: Say "Si Si" 02996

CASA LOMA ORCHESTRA
The Pessimistic Character 03030
Meet the Sun Halfway 03033
I Haven't Time to be a Millionaire 03029
April Played the Fiddle

BRUNSWICK
Brunswick "O" Series, 10" 3/4, 12" 4"

NA PŁYTACH
Brunswick

Issued by Brunswick Ltd., 1-3 Brixton Road, S.W. 9

KIESZONKOWY
ANGIELSKO-POLSKI i
POLSKO-ANGIELSKI
SŁOWNIK
KOLINA
cena 2/6

36, Great Russell Street, London, W.C.1

ALFA.

Nagle wszystko się zmieniło. Wojskowi japońscy w ustępstwie angielskim co do drogi birmiejskiej, w braku reakcji Waszyngtonu, ujęli dowód słabości. I uznali, że wobec tego przyszedł czas na zrealizowanie programu maksymalnego. Zaczął się nacisk na Indochiny. Początkowo widać lokalnie w Indochinach myślenie o oporze. Szły pertraktacje z Ciang-Kaj-Szekiem o wspólną obronę na wypadek, gdyby Japonia wkroczyła do Indochin. To się jednak przedkoła do Indochin. Na rozkaz Abetza rząd w Vichy nakazał ustępstwo wszystkim żądaniom japońskim. I dzisiaj w Indochinach już są garnizony japońskie. Czuning jest zagrożony od południa. Bardziej jednak jeszcze od Czuninga zagrożony jest Singapur, zagrożony są bazy angielskie. Jednocześnie zaczęły się aresztowania Anglików w Japonii, przyczem jeden z aresztowanych, korespondent Reutersa w Tokio, zginął w torturach.

Waszyngton zareagował. Nałożył embargo na benzynę lotniczą, która dotad szła do Japonii. Londyn eagle młaza.

Wreszcie przyszedł pakt japońsko-włosko-niemiecki. Pomyślany był jako zagrożenie Ameryce i Rosji, jako izolacja Anglii i Chin. Ale wywołał skutek odwrotny. Waszyngton odpowiedział natychmiast rozciągnięciem embargo na złom żelazny i pozyską dła Ciang-Kaj-Szeka. A w dzień chińskiego, święta narodowego, 10 października, Roosevelt wysłał depeszę gratulacyjną do Czuninga. To był manifestacja. Jednocześnie jednak zaczął się przygotowywać wspólny front dalekowschodni. I rezultaty nie dały na siebie czekać. Kanada zabroniła wywozu miedzi do Japonii, a droga birmiejska została odtwarzana. Pakt, który miał na celu zupełne odizolowanie Chin, wywołał skutek wręcz odwrotny.

Czy dojdzie do zła z dnia się dwóch wojen w jedną, niepodobna przewidzieć. Chwilowo bowiem Tokio z powrotem sięgnęło do hamulca. Znowu zaczynają się zapewnienia, że Japoni idzie tylko o to żeby mogła Chin „uporzadkować”, że chce być w przyjaźni z Staniem i z Anglią. Otworzenie drogi birmiejskiej przyjęto jedynie łagodnym protestem, choć przedtem Matsuoaka się odgrażał, że będzie on sygnałem wojny japońsko-brytyjskiej. Możliwe więc że do otwartego zerwania nie dojdzie. Ale nawet i w wypadku, gdyby otwarte wojny nie było, Chin nie pozostaną już izolowane. Zapewnienie przyjaźni japońskiej nie chwyca. Stany nakazały swym obywatelom opuścić Japonię i okupowane Chiny. A i Japończycy opuszczają Londyn.

Nie wiec dziwnego, że w ambasadzie chińskiej spotyka się obecnie uśmiechnięte twarze. Myśli się tam nawet o tem, że może Chin będą mogły stać się pomostem między demokracjami Zachodu a Sovietami, że odpowiedział na pakt niemiecko-japoński będzie zerwanie paktu niemiecko-sowieckiego. Nad tem samym pracuje zresztą dzisiaj i Waszyngton. Równocześnie jednak i Hitler, zagrożony Moskiewie paktem z Japonią, stara się sytuację wyzyskać dla siebie, jakiegoż związania Sovietów z Rzeszą. Jako „ucieczny pośrednik” stara się doprowadzić do porozumienia rosyjsko-japońskiego, kosztem Chin i Indii brytyjskich.

Jakkolwiek jednak te moskiewskie pertraktacje pójdą, wspólnie interesów między Chinami a demokracjami Zachodu stała się dziś tak oczywista że nie już jej nie zlamie.

I jest w tem głęboki sens moralny. Powstaje wspólny front wszystkich krajów walczących o wolność i niepodległość. A z drugiej strony barykady znajdują się ci wszyscy co znieśli wolność w własnych krajach, zain zakrawione ręce wyjęteli po cudze.

CZEŚLAW POZNAŃSKI.

Przejsie na stronę japońską Wang-Czing-Weja nie zmieniło sytuacji. Prawda, że Wang-Czing-Wej odgrywał w swoim czasie wielką rolę w chińskim ruchu niepodległościowym, że był rywalem Ciang-Kaj-Szeka, to łącznie z komunistami, gdy Ciang-Kaj-Szek prowadził politykę antybolsewicką, to będąc kierownikiem ruchu antyjapońskiego, gdy Ciang-Kaj-Szek, zdając sobie sprawę z nieprzygotowania wojennego Chin, politykował z Japonią. Ale z chwilą gdy Wang-Czing-Wej oddał się na usługi Japończykom, cały jego autorytet przysł. Pozostał sam. Utworzył co prawda kilka miesięcy temu „centralny rząd chiński”, mający pretensje do przemawiania w imieniu całych Chin, i uzyskał oczywiście odrazu uznanie przez Mussoliniego, ale ten nowy „rząd centralny” nie tylko nie ma zwolenników w Chinach nieokupowanych, nie tylko nie jest uznany przez wiec chińską w okupacji japońskiej, ale nie potrafił uzyskać uznania nawet przez prowincjonalne rządy chińskie, stworzone przez Japończyków.

Koniec wojny w r. 1940 był więc równie daleki jak w r. 1937, a wojna ta kosztuje Japonię, i to drogo. Kosztuje nie tylko życie żołnierzy, ale kosztuje i pieniądze. Chłop, robotnik japoński muszą coraz bardziej zacząć pasą, by wojna mogła iść dalej. I zaczyna się odczuwać już głuchy niepokój, który może przejść we wrzenie. Japonia coraz bardziej zdaje sobie sprawę, że wojnę trzecha szybko skończyć.

W r. 1938 Chiny otrzymały pewne kredyty w Londynie i w Nowym Jorku. Co ważniejsze zaś, trzema drogami do Chin szła broń na wielbłądach z Rosji sowieckiej, szła przez koleje indochińskie, szła przez drogę birmiejską, wspaniała szosa którą cierpliwie kulisi chińscy wybudowali już podczas wojny.

Gdyby ten dopływ broni powstrzymał, rozumowano w Tokio, gdyby udało się Ciang-Kaj-Szeka zupełnie odizolować od świata, może wtedy opór chiński zostałby złamany.

Rozpoczął się więc nacisk „dyplomatyczny” na Francję i Anglię. Wojska japońskie zbliżyły się do granicy Indochin, koncesje europejskie w miastach portowych zajętych przez Japończyków zablokowano, obywatele angielscy w Chinach i Japonii narazeni zostali na tysiączne przykrości i upokorzenia.

Z Francją poszło łatwo. Jeszcze przed wojną Bonnet starał się usilnie o względy japońskie, tak jak starał się o względy Hitlera i Mussoliniego. Jeszcze przed wojną nie już prawie nie szło przez koleje indochińskie, a więc woda wybuchła, droga ta została zupełnie zamknięta dla handlu z Chinami.

Z Wielką Brytanią było trudniej. Krok po kroku jedynie rząd angielski ustępował w poszeżonych sprawach, utrzymując ciągle zasadę że rząd Ciang-Kaj-Szeka jest rządem legalnym i że nie można go pozbawić prawa otrzymywania broni.

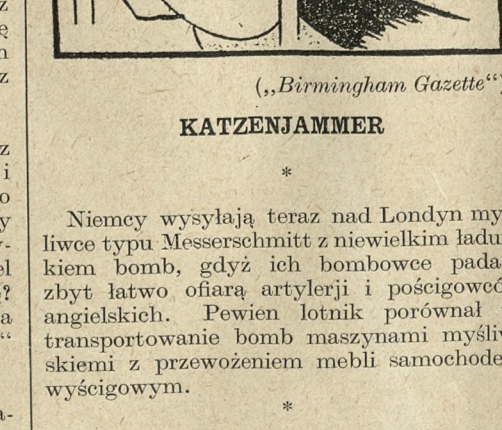
Po upadku Francji jednak i Londyn się zawałał, czy ryzyko nawet późniejszego poparcia Chin nie jest za wielkie.

Dn. 18 lipca podpisano układ o zamknięciu na trzy miesiące drogi birmiejskiej. Stany Zjednoczone bardzo się krzywiły na to posunięcie dyplomacji brytyjskiej, ale nie obiecały Chinom żadnej pomocy.

Ciang-Kaj-Szek był więc nareście izolowany. Jedynym państwem, które do niego nie szło, była Rosja. Ale i między Tokio i Moskwą zaczęły się rozmowy, w których Berlin pośredniczył. Nie zlamano o oporu chińskiego. Nadal nie było mowy o poddaniu się Japonii. Objawiały jednak sytuacja Chin dwa miesiące temu była cięższa niż kiedykolwiek.

wieczornych zjawilo się blisko ćwierć miliona ludzi.

W Anglii niedługo już będzie opowiadano się dzieciom: „Bardzo, bardzo dawno temu ludzie mieszkałi w swoich domach, spali w łóżkach, chodzili wieczorem po oświetlonych ulicach, nie wiedzieli co to są bomby zapalające...”



KATZENJAMMER

Niemcy wysyłają teraz nad Londyn myśliwce typu Messerschmitt z niewielkim ładunkiem bomb, gdyż ich bombowce padają zbyt łatwo ofiarą artylerji i pocisków angielskich. Pewien lotnik porównał to transportowanie bomb maszynami myśliwskimi z przewożeniem mebli samochodem wyciągowym.

W ciągu ośmiu tygodni „Blitzkrieg”u rozmaici ludzie przeżywali w Londynie różne niezwykle przygody. Chyba najdziwniejsza z nich wydarzyła się jednak pewnej Anglecie, zamieszkałej na przedmieściu stolicy. Wkładła ona butelkę mleka do lodowni gdy bomba trafiła w jej wille. Po sekundzie niewiasta znalazła się w ogrodzie, siedząc na lodowni i trzymając w ręce flaszkę z nierozlanym mlekiem. Z domu pozostały tylko gruzy.

ROZMAITOŚCI

Parasol jako symbol polityki ustępstw poszedł wprawdzie do dymisji, lecz parasol-deszczochron ma jeszcze pewne zastosowanie w tych burzliwych czasach. Przekonał się o tem kilka dni temu przewodniczący Polskiego Komitetu Pomocy w hrabstwach Sussex i Cambridge, p. Canning-Freeman. Przechodząc ulicą podczas natłutu usłyszał nagle świst bomby. Szybko rozjechał się za schronem, lecz nie widząc żadnego wzbudzenia, machinalnie otworzył parasol. W ulamek sekundy później spadł na niego grad odłamków szkła i tyunku. Nieto dzięki parasolowi p. Canning-Freeman wyszedł z tej opresji cało. Zasłużony „deszczochron” ma być jedną z głównych atrakcyj nadechodzącej imprezy, której dochód przeznaczony jest na Fundusz Pomocy Polakom.

„Od chwili najazdu na Polskę — pisze londyński „Observer” — p. Paderewski ani razu nie zasiadł do fortepianu. Czyż można znaleźć podobny przykład samozaparcia się? Zuwagi na wiek lub zdrowie, wielu pianistów wyrzekło się występów publicznych, lecz czemś ealkiem odmiennem jest wrzecz się gry jako przyjemności osobistej — a w tym wypadku była to zapewna największa z przyjemności osobistych”.

To samo pismo przytacza wydany przez Niemców zakaz grania utworów Chopina i wyraża przypuszczenie, że pewnie niedługo Einstein znajdzie się na indeksie i fizyce hitlerowskiej będą musieli trzymać się Newtona. A może Newton, jako przedstawiciel wrożej Anglii, także wpadnie w nielaskę? Wtedy nauka niemiecka będzie się chyba musiała cofnąć aż do „szprymierzonoego” Galileusza.

W Ameryce ukazało się angielskie tłumaczenie nowej książki Thomasa Manna p. t. „The Beloved Returns” („Powrót ukochoanej”). Jest to powieść o spotkaniu Goethego z Lottą czyli Charlottą Kestner z 144 lata po ich romansie, który natchnął poetę do napisania „Cierpienia młodego Werthera”.

Krytycy amerykańscy twierdzą, że druga połowa tej książki, odzwiercaglając monolog Goethego, jest arcydziełem godnym Manna, natomiast z mniejszym uznaniem wyrażają się o pierwszej części, poświęconej głównie dialogowi poety z dawną ukochoaną.

„Nie chcemy aby nam mówiono, że coś się nie da osiągnąć” (minister pracy Ernest Bevin).

Przeglądając pisma amerykańskie ma się wrażenie, że wychodzą one w jakimś kraju z bajki. Tygodniki z pierwszych dni września (które dopiero teraz nadeszły do Londynu) piszą o wielkich festiwalach muzycznych na otwartem powietrzu. W jednym tylko parku w Chicago na koncertach

zaczynano mu, że pozbawil naród bezzemnego zbioru książek. W odpowiedzi Lord Iythian oświadczył: „Naród musi wybrać: albo książki albo podatek spadkowy — a woli podatek”.

Nieprawdą jest jakoby hitlerowcy zupełnie zerwali z tradycją. Wydaje się nawet ogwilami, że tradycje lotników niemieckich sięgają aż XVIII stulecia, gdyż podwalni Goeringa wzorują się dokładnie na sławnym Finckhausenie, którego sami rodacy przewalili „Der Lügenbaron”.

Kto czytał „Opowieści barona von Münchhausen” znajdzie dokładnie ich echo w opowieściach innego, współczesnego, barona von Werra, który jest oficerem w hitlerowskiej „Luftwaffe”. W ciągu ostatnich kilku tygodni ten „Lügenbaron” szalał nad Anglią, strącając sam dosłownie dziesiątki samolotów brytyjskich. O swych bohaterstwach wyczynach (które były wyczermem jego bujnej wyobraźni) opowiadał szczegółowo przez radio, poczem oznajmiono, że Hitler odznaczył go żelaznym krzyżem I klasy. Można sobie wyobrazić radość lotników angielskich, gdy świeżo przekonali się, że strącony pilot nieprzyjacielski, to sam baron von Werra. Przed odesłaniem do obozu jeńców musiał on powtórzyć swą bohaterką fanfaronadę, ku niezmiernemu uciesze słuchających angielskich.

Przez radio niemieckie słyszeć można było taki oto „autentyczny” raport, nadawany w chwili gdy nad Wielką Brytanią nie było ani jednego samolotu nieprzyjacielskiego: (CZŁONEK ZAŁOGI BOMBOWCA, NIEJAKI LAUBENTHAL: — Leż na plecach i widź tylko nogi pilota. Unosimy się na bardzo dużej wysokości, i dokoła nie widać dosłownie nic. Wszystko jest czarne. Dwanacie minut temu przekroczyliśmy linię wybrzeża Anglii. Jest mgła i gęste chmury, mimo to znajdujemy jednak nasz cel”.

KOMENTATOR NA LOTNISKU: — Wiemy, że nie sobie nie robicie z mgły. Cały świat pragnie jednak poznać tę tajemnicę — jak pomimo mgły udaje wam się trafić do celu. Może ham pan coś o tem powiecie? LAUBENTHAL (wymijająco): — Za chwilę rzucę bombę. KOMENTATOR: — Nie będziemy panu w tem przeszkadzać. Słychać świst i huk, poczem rzucono bombę, która spadła na atakowany obiekt. Widziano wybuchające pożary. KOMENTATOR: — Winszuję! Czy ostrzeżliwano was silnie? LAUBENTHAL: — Anglicy nie mogli nas dostrzec. Strzelali poprostu na ślepo.

ALFA.

